Miłość po szkocku. Prehistoria – kiedy życie było proste.



Glasgow na dawnej fotografii. Stacja kolejowa.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Anna Habryn

Rozdział 1

Ma na imię Mary. (...) Wychowała się w Glasgow, w

przemysłowym, zadymionym mieście, nad rzeką Clyde, którą spływały ścieki z wielu fabryk, między innymi ze stoczni Goran, tej, w której zbudowano wielkie pasażerskie transatlantyki – królowe „Mary” i „Elizabeth”. Były lata trzydzieste. (…)

Mieszkańcy Glasgow – twierdzi Mary – potrafili się bawić, mieli swoisty wdzięk i poczucie humoru. Większość mężczyzn umiała śpiewać i grać na akordeonie. Jeśli nie mieli pod ręką żadnych instrumentów, wkładali między palce rąk suche kostki baranie i wybijali nimi rytm niby grzechotkami. Często tak grali i śpiewali w pogodne letnie wieczory. Śpiewali o Szkocji, Szkoci bowiem zawsze śpiewają o Szkocji, w kółko o zielonych łąkach i polach rodzinnych. Większość z nich zresztą nigdy nie ruszała się z miasta i nigdy nie widziała tych gór, o których śpiewali, bo sąsiedzi Mary nie byli podróżnikami i jeśli ktoś z nich kiedyś dotarł do Londynu, uważano, że widział już cały świat. (…)

Dzieci dookoła było dużo i życie na podwórku wrzało. Rzadko kto miał zabawki, a te dzieci, które je miały, strzegły ich jak najdroższych skarbów. Ale od czego pomysłowość? Dwie puszki po konserwach, ze sznurkiem przewleczonym przez dziurki w ściankach – i już mieli *puszki-chodaki*, na których człowiek czuł się taki wysoki, oczywiście, jeśli potrafił utrzymać równowagę. Skakankę robiło się z kawałka linki do wieszania bielizny. (…)

Charlie, jej mały brat, był częścią jej życia od zawsze.

Opiekowała się nim, chroniła go, i matkowała mu. Brał udział w jej zabawach i psotach – z konieczności i z natury rzeczy. (…)

Właściwie, dla Mary wojna zaczęła się dopiero, kiedy pierwsze bomby spadły na Govan. Mieszkali tylko o dwie mile od stoczni, która była pierwszym celem Luftwaffe. Dorośli mówili między sobą: *O nie, Germańcy nigdy nie przejdą przez Kanał Angielski. Stary Churchill będzie ich bił na plażach, a my wytępimy ich na brzegu.* Nie wiedziała, o czym mówią, ale miała szybko spostrzec, że świat się zmienił. (…)

Mary zawsze najbardziej lubiła wczesne wieczory, zanim jeszcze trzeba było wracać do domu na kolację. Ale teraz coraz częściej wyły syreny i wszyscy szli do schronu. Po drodze, czasem widziała samoloty i – przysięga na to – lecące z nieba bomby. Wszystko było fascynujące. Wczesnym rankiem ludzie grzebali w gruzach szukając resztek swojego dobytku. Wszyscy opowiadali sobie, gdzie spadły bomby ostatniej nocy.

Któregoś jesiennego dnia (*to było 1 października 1940* – mówi Mary), w słoneczne, jasne popołudnie, Matka zawołała ją z okna. W jej głosie było coś tak dziwnego, że Mary popędziła najszybciej, jak mogła. Mama szlochała, skulona na klęczkach, na podłodze, w kuchni.

– Twój tatuś nie żyje!

Mary zapytała niepewnie:

– Co to jest „nie żyje”?

Mama zajrzała dziecku w oczy i zastanowiła się chwilę:

– To znaczy… poszedł do nieba.

To brzmiało lepiej. Mała objęła matkę rączkami za szyję i powiedziała:

– Nie płacz, znajdziemy drugiego.

(…)

Z dnia na dzień życie zmieniało się na gorsze. Matka sprzedała stopniowo wszystkie meble, ze wspaniałym pianinem na czele. Zabawki Charliego i Mary zniknęły z domu już dawno. Żywność kupowano na kartki. Cukru brakowało, używano sacharyny. Kobiety nauczyły się gotować zupy bez mięsa, na odrobinie margaryny. Cała Szkocja jadła owsiankę, której Mary nienawidziła. Osiągalna była ryba – i kości, tylko kości.

W okolicach Bożego Narodzenia bywało ciężej, niż latem. Dzieci kochały śnieg, robiły z niego bałwany, ale kiedy topniał, buty przemiękały natychmiast. Miewali oboje z Charliem okropne

bąble na stopach, które próbowali suszyć i ogrzewać przy kominku.

Węglarz przychodził raz w tygodniu. Węgla było w ogóle mało. Niedaleko ich domu zaczynała się najuboższa dzielnica miasta. Ludzie tam wiedzieli, kiedy przybywały pociągi z węglem i wtedy kto żyw ciągnął na tory: mamy, babcie, nawet pięcioletnie dzieci, wszyscy zbierali drobny węgiel rozsypany na torach. Ładowali go do starych wózków dziecinnych i taczek. Kobiety miały fartuchy pozszywane brzegami jak torby i zginały się pod ich ciężarem w pół, ale to nie węgiel pokrywał pyłem ich twarze, one były zawsze smutne i postarzałe przed czasem.

Dla dzieci wszystkich wyznań jednakowo, Boże Narodzenie było okazją jedyną w roku. Dzieci życzyły sobie choinki i prezentów, takich jak w domach kolegów i na wystawach wielkich sklepów.

Mary przypomina sobie, jak tuż przed którymiś świętami podczas wojny odkryła w szafie przygotowane dla niej i Charliego paczki. Bardzo żałowała wtedy swojej ciekawości. Marzenia i oczekiwania były o niebo piękniejsze niż rzeczywistość: szmaciana lalka, dwie mandarynki, czekoladowe pieniążki – i to wszystko. Miała jeszcze nadzieję, że do świąt jej paczka się powiększy. Niestety. Była zawiedziona, ale nie pisnęła słówka, bo dostałaby solidnego klapsa, gdyby matka wiedziała o jej myszkowaniu po szafach.

Święta były i tak ciekawe, bo szkoły i teatry wystawiały przedstawienia dla dzieci, jasełka, musicale i pantomimy: występowali prawdziwi artyści, światła i muzyka wzruszały do łez, nawet jeśli się nie rozumiało ich sensu i nikt nie zadał sobie trudu, by ten sens wyjaśnić.

Po jednym takim przedstawieniu Mary postanowiła, że kiedy dorośnie, zostanie artystką. Najlepiej tancerką.

Ogólnie – życie było piękne.

(…)

Matka była zawsze otoczona rojem mężczyzn różnych narodowości, miała w czym wybierać. Chodziła z sympatycznym Kanadyjczykiem, nawet korespondowała z jego rodziną w Kanadzie, ale zabito go na froncie. Potem był Henry Lang, oficer brytyjskiej marynarki, też miły, ale Mama stwierdziła, że jest niepoważny. Następny, Bill Johnson, był prawdziwym dżentelmenem, ale nie umiał tańczyć. A potem pojawił się Jan Rogacki, Polak, olbrzymi, przystojny marynarz o łagodnych, brązowych oczach.

– Ciekawe – mówi Mary – Jan też nie umiał tańczyć, a jednak matka zaręczyła się z nim.



Mary i jej brat Charlie.

Mary i Charlie zobaczyli Jana pierwszy raz w 1942 roku. Jego okręt „Błyskawica”, przypłynął do Broomilaw dla przeprowadzenia przeglądu technicznego i niezbędnych reperacji. Jan poszedł z kolegami do klubu dla cudzoziemskich marynarzy i tam zawarł znajomość z dwiema Irlandkami, siostrami, które z kolei zapoznały go ze swoją przyjaciółką.

Nazywała się Sheila Ross (Catherine, ale kazała mówić na siebie Sheila). Była samotną matką z dwójką dzieci. Stracił dla niej głowę od razu.

Mary była nim zachwycona. Był łagodny, nie mówił wiele, podziwiał, kiedy popisywała się dla niego tańcem, przynosił im czekoladę. Matka dostawała od niego jedwabne pończochy i podarunki ze wszystkich portów, do których „Błyskawica" zawijała w swoich rejsach.

Jan nie był jedynym Polakiem na horyzoncie. Ciotka też chodziła na randki z jakimś polskim żołnierzem. Jan pojawiał się na przepustkach dość często i zawsze coś przynosił. Matka rzuciła pracę i zaczęła napomykać, że Jan będzie ich tatusiem. Znowu spali w normalnych łóżkach, jadali regularnie posiłki, a dom był czysty i wysprzątany. Wraz ze swoją wypłatą Jan wnosił do ich życia normalność.

W wolnych chwilach majsterkował. Nie miał wprawdzie narzędzi, ale i tak potrafił zrobić stolik do kawy, na trzech nogach. Zrobił ich kilka, a Mary sprzedała je swoim koleżankom w szkole, po siedem szylingów i sześć pensów – to był majątek!

Jan potrafił zrobić sidła i złapać w nie gołębia. Pieczone gołąbki – to był prawdziwy rarytas na ich stole. Jan postarał się o nowe ręczniki i pościel, a koce na pewno pochodziły z „Błyskawicy", no

bo skąd? Były wprawdzie niewielkie, ale Mary znowu było w nocy ciepło. Te koce miały jej służyć przez całe lata. Jadąc do Australii też zabrała je ze sobą.

Któregoś dnia Jan przywiózł hamak. Powiesił go na podwórku, na hakach wbitych z jednej strony w ścianę komórki na węgiel, a z drugiej do muru schronu przeciwlotniczego, ponad workami z piachem. To była najpiękniejsza huśtawka w całym Glasgow! Hamak mógł pomieścić jednocześnie nawet trójkę dzieci. Mary lubiła się na nim kołysać – i marzyć, patrząc na przepływające obłoki. Spokój nie trwał jednak długo. „Błyskawica" popłynęła gdzieś daleko, a matka wymyśliła coś nowego.

Mary miała zaledwie osiem lat, a Charlie sześć, kiedy matka zgłosiła się na ochotnika na wyjazd do Anglii. Była dobrym fachowcem, pracowała jako operator dźwigu, ale nie musiała nigdzie wyjeżdżać, każdy by zrozumiał, że jej dzieci potrzebują jej na miejscu. Nie: pojechała. Nawet nie zgodziła się, żeby ją Charlie odprowadził na stację, bo dzieciak nie miał odpowiedniego ubrania. Przyniósłby jej wstyd. Oczywiście, nie zostawiła ich na łasce losu, powierzyła ich opiece swojej siostry, Christine. Właściwie Mary nawet lubiła tę ciocię. Tylko że ciocia Chris była sama w trakcie rozwodzenia się z mężem, a jej własny synek został umieszczony w domu dziecka z powodu zaniedbania.

Owa „opieka” wkrótce się cioci znudziła. Zaczęło się od wyprzedaży resztki mebli. Zniknęły też zabawki. Spali na podłodze i trzęśli się z zimna, bo nie mieli ciepłej odzieży. Pożerały ich pchły, wszy i świerzb. Mary płakała gorzko, kiedy ścinano aż do skóry jej gęste blond włosy. Charliemu też ogolono głowę. Dzieci w szkole wyśmiewały się z nich, toteż Mary przestała chodzić do szkoły. Wagarowała całymi tygodniami. Próbowała napisać do matki, nie dostała odpowiedzi.

Matka przysyłała ciotce co tydzień 10 szylingów na utrzymanie dzieci. Ciocia, tak jak przedtem mama, wręczała Mary pieniądze i listę zakupów – i Mary musiała wystawać w kolejkach po żywność.

Któregoś tygodnia, wychodząc na zakupy, Mary zjeżdżała po poręczy schodów. Banknot wypadł jej z ręki i wyfrunął przez otwarte okno porwany przeciągiem. Przez godzinę czołgała się na czworakach po ulicy, bezskutecznie szukając swojej zguby. Ciotka wpadła w furię, bo pierwszą pozycją na liście zakupów były zawsze jej papierosy. Wrzeszczała: „Nie kłam, gdzie masz pieniądze, ukradłaś, gdzie schowałaś?!” Zamknęła Mary w pokoju na pół dnia, bez jedzenia i picia, a wieczorem pojawiła się w drzwiach z trzcinową trzepaczką. Zbiła dziewczynkę tak mocno, że krew spływała jej po nogach. Zachowywała się, jakby oszalała, aż ktoś z sąsiadów z dołu usłyszał awanturę i interweniował.

Następnego dnia Mary poszła do szkoły – i dopiero wtedy podniósł się krzyk. Nie wyglądała pięknie ze swoją łysą głową w bandażach, z siniakami i otwartymi ranami na nogach. Postanowiono, że Mary i Charlie zostaną ulokowani w domu dziecka. Ich matka pojawiła się w samą porę – po dziewięciu miesiącach nieobecności.

Niestety, szczęście trwało krótko: po tygodniu pojawił się również matki świeżo poślubiony mąż. To nic, że była zaręczona z „głupim Polakiem". Jan leżał ranny w Algierze, a ona wyszła za angielskiego marynarza z Birmingham. To był awans społeczny.

Marynarz nienawidził dzieci, a co gorsze, był komunistą i bił matkę, a Mary gryzła go i kopała krzycząc: „Zostaw mamę, daj mamie spokój!" – aż przyjeżdżała policja. Małżeństwo rozsypało się wkrótce, ale rozwód matka dostała dopiero po wojnie, kiedy wrócił Jan. I jeszcze musiała przy rozwodzie wziąć na siebie winę cudzołóstwa…

Los jest złośliwy – myślała Mary później, kiedy rozpamiętywała tę historię.

Ciotka Chris, która tak ją zbiła, miała długo wyrzuty sumienia. Na 12 urodziny, już po wojnie, kupiła Mary najwspanialsze wrotki, jakie można było dostać w sklepach. Mary jeździła na nich po ulicach jak szalona, skakała w górę, robiła salta i obroty

w powietrzu. Czuła się jak Sonia Heine. Nie rozstawała się z wrotkami nawet w nocy, kładła je pod poduszkę. Niestety, jej swoboda trwała krótko. Niedługo potem musiała się zająć małą siostrzyczką.

Sandra urodziła się w roku 1946, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia, kiedy jej ojciec, czyli Jan Rogacki, omal nie stracił życia na morzu. Ważyła dziewięć funtów i miała oczy jak Jan. Ojciec trzymał ją w rękach wysoko nad głową, tak, jak sportowcy prezentują swoje puchary stojąc na podium zwycięzców – i obwieszczał światu radośnie: *Moja kochana Sandrianna Rogacka!*. Mary czuła się szczęśliwa, jak nigdy w życiu.

Maleńka siostra była dobrym dzieckiem. Nigdy nie płakała i była śliczna. Mama robiła jej kaftaniki na drutach. Ojciec kupił maszynę do szycia, a że Sheila nie umiała nawet nawlec igły, Mary z dumą pomagała jej opanować tajniki szycia, jako że tego nauczono ją w szkole. W końcu wspólnym wysiłkiem sporządzono nie tylko sukieneczki we wszystkich kolorach tęczy dla Sandry, ale i dwie spódniczki dla Mary, jej pierwsze od lat nowe sukienki!

Jana zdemobilizowano w 1947 roku, a w październiku 1948 Sheila i Jan Rogacki wzięli ślub. Wyprowadzili się do Kirkcaldy. I tak skończyła się epoka Glasgow – i dzieciństwo.

Rozdział 2 ukaże się w poniedziałek 13 marca 2017 r.